

Rzeczpospolita 23.02.2010 r.

Autor: Liliana Sonik

Demokracja parytetowa

Parytety cofają nas do sytuacji, w której władca (ustawodawca) arbitralnie dzieli nas na kategorie i uznaje nadrzędność czynnika biologicznego - pisze publicystka

Ustawa parytetowa jest najważniejszym projektem politycznym ostatnich 20 lat – stwierdził Roman Kurkiewicz w Radiu TOK FM. Ma powody, które doskonale rozumiem, jednak entuzjazmu nie podzielam. Starając się możliwie najrzetelniej analizować sytuację, znajduję w pomysły parytetów coraz mniej zalet. I coraz więcej istotnych wad.

Ustawa wprowadzająca przymus parytetów jest regresem demokracji. To bezdyskusyjne. Do tego stopnia oczywiste, że autorki ustawy podkreślają, iż po dwu lub trzech kadencjach chcą się z parytetów wycofać.

Regres demokracji

"Nie ma pana ani niewolnika, nie ma kobiety ani mężczyzny" – rewolucyjne zdanie św. Pawła wyznaczyło równość godności, która jednak przez niemal 20 stuleci miała charakter wyłącznie symboliczny. Na efekt polityczny i prawny trzeba było długo czekać. W czasach premodernistycznych warunki życia wymuszały podział ról społecznych. Kobiety miały wprawdzie władzę nad życiem (pater semper incertus est), lecz władzę polityczną dzierżyły rzadko, choć częściej, niż nam się dziś wydaje. W miarę rozwoju technicznego i cywilizacyjnego ujawniały się aspiracje wolnościowe różnych grup, także kobiet. W dodatku utrzymywanie zdeterminowanych urodzeniem kategorii społecznych stało się dysfunkcyjne: było hamulcem kreatywności i ekonomicznej energii.

Stopniowo – i stosunkowo niedawno – w osnowę przygotowaną przez symboliczną "równość przed Bogiem" wpleciono zasadę równości politycznej. Podział na klasy i stany został przewyżniony, a różnice biologiczne nie determinowały już indywidualnych wyborów. Podmiotem prawa stał się człowiek. Niezależnie od płci, religii, urodzenia, pochodzenia i majątku. Każdy człowiek. Wolność indywidualna uzyskała status prawny. Parytety tę zasadę rujną.

Na pozór wydawać się to może trochę abstrakcyjne, w rzeczywistości ma znaczenie kapitalne. W centralny układ nerwowy ustroju prawno-politycznego, w miejsce pojedynczego człowieka, wprowadzona ma być grupa. I nie jest to grupa otwarta, do której można przystąpić lub się z niej wycofać. To grupa niezależna od naszej woli, nadana urodzeniem.

Oto dlaczego parytety cofają nas do sytuacji, w której władca (ustawodawca) arbitralnie dzieli nas na kategorie i uznaje nadrzędność czynnika biologicznego. Tym samym uszczupla naszą wolność.

Ludzie wolni mogą zawiązywać stronnictwa polityczne na bazie wspólnych poglądów czy interesów i poddać tę propozycję testowi wyborów. Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł zakazać istnienia Polskiej Partii Kobiet, nawet jeśli na jej listach znalazły się wyłącznie

kobiety. Ale to samo dotyczy partii mężczyzn, gdyby ekstrawagancki pomysł płciowej partii mężczyzn się pojawił.

W kolejce do kwot

Raz wprowadzonej logiki parytetów nie sposób powstrzymać inaczej niż arbitralnie. Przecież niedoreprezentowane w parlamencie są również grupy inne niż kobiety, np. ludzie starsi. Ani chyba zażądają parytetów działacze Partii Emerytów i Rencistów. W Sejmie jest emerytów mało, choć są chętni do polityki, doświadczeni i dysponują czasem. Porównajmy kondycję kobiet i seniorów, a okaże się, że sytuacja ludzi starszych jest nieporównywalnie trudniejsza: można mówić o dyskryminacji. Pogarda, ubóstwo i szwankująca opieka zdrowotna to realne problemy seniorów. Mają o co walczyć. Potrafią być aktywni i przy pomocy bliskich sobie mediów zbiorą 150 tys. podpisów szybciej niż Kongres Kobiet.

Kłopoty z uzyskaniem miejsc na listach wyborczych mają też ludzie młodzi. Jeśli przyznamy kwoty jednej grupie, nie widzę argumentu, który usprawiedliwi odmowę gwarantowanych miejsc na listach dla innych grup. W demokracji parytetowej najistotniejszym kryterium stanie się przynależność do grupy, do której wrzuciło nas urodzenie lub los.

A wtedy listy wyborcze będą musiały układać komputery. Mieliśmy różne demokracje przymiotnikowe: ateńską, szlachecką i dobrze nam znaną demokrację ludową. Demokracja parytetowa będzie demokracją algorytmu.

Najsłabsze ogniwo?

Stale słyszę, że Polska ma dramatycznie niski odsetek kobiet w parlamencie. Szanowana posłanka uzasadnia konieczność parytetów tym, że polski parlament "ma najniższą ilość kobiet spośród parlamentów europejskich". Zabrzmiało jak wyrok: "Polsko, jesteś najslabszym ogniwem; odpadasz z gry". Bo ostatecznie miejsce zawsze wygląda słabo. I wyglądałoby słabo, gdyby było prawdą. Ale prawdą nie jest. Statystykę można kreatywnie podkreślić, wliczając w nią Senat, gdzie mamy raptem 8 proc. kobiet. Byłby to jednak zabieg podwójnie nieuczciwy: również jako pałka przeciw kobietom. W wyborach do Senatu głosujemy bowiem według ordynacji większościowej, bez obowiązku partyjnych list: dostaje się zatem ten, kto zdobył najwięcej głosów.

Polki radzą sobie w polityce przeciętnie, a nie zawstydzająco. Mamy w Sejmie 94 kobiety, co stanowi 20,5 proc. i daje nam 15. miejsce w Unii Europejskiej. Wśród 27 krajów sytuujemy się przed Wielką Brytanią, Irlandią, Słowenią czy Francją, choć w dwu ostatnich krajach parytety obowiązują.

W polskim rządzie ważnymi resortami kierują panie: Ewa Kopacz, Barbara Kudrycka, Katarzyna Hall, Elżbieta Bieńkowska i Jolanta Fedak. Wśród konstytucyjnych ministrów jest zatem pięć kobiet, co daje 27,8 proc. – jeśli liczyć w procentach – i dziewiąte miejsce na 27 państw Unii. O wiele mniej kobiet znajdujemy np. w rządach Holandii, Słowenii, Wielkiej Brytanii, Włoch czy Irlandii.

Praktyka konstruowania list wynika z natury polityki: celem jest władza, bo władza umożliwia realizację celów innych. Tym, którzy decydują o kształcie list, zależy na ułożeniu takich puzzli, które pozwolą zdobyć maksymalnie dużo głosów dla swojego ugrupowania, a

jednocześnie zachować maksimum władzy wewnętrznej. Tylko tyle i aż tyle. Kto tego nie rozumie i nie potrafi na swoje obrócić, ten przegrywa. Niezależnie od płci.

Podobny mechanizm funkcjonuje wszędzie, z parytetami czy bez.

Bo polityka nie zmienia się tylko od tego, że jest w niej więcej kobiet. Zmieniają się za to statystyki, jak w rankingu Global Gender Gap z 2009 roku, który podaje, że sytuacja kobiet w Polsce (50. miejsce) jest znacznie gorsza niż w Lesotho (10. miejsce), gdzie senatorów wybiera król, czy w Mozambiku i na Kubie, gdzie kobiety żyją średnio 37 lat. Parytet nam tę absurdalną statystykę poprawi, ale chyba nie o to chodzi.

Efekt kanibalizmu

Może natomiast chodzić o rozbitcie oligarchicznych stosunków i struktur partyjnych. W sytuacji, gdy sztywne finansowanie partii politycznych konsoliduje status quo, parytety mogłyby ułatwić wprowadzenie do polityki nowych twarzy. Pytanie, czy rzeczywiście tak się stanie czy wręcz przeciwnie – parytety umocnią pozycję dotychczasowych decydentów? Nie znam odpowiedzi. Znajduję tyle samo argumentów za jedną co i za drugą hipotezą. Jeśli jednak chodzi o szanse kobiet, to parytety raczej okażą się przeciwnie skuteczne. Paradoksalnie, w czasie wyborów zacięta rywalizacja toczy się również w obrębie tej samej listy, bo przecież z dajmy na to 20 kandydujących dostaną się do Sejmu trzy lub cztery osoby. Potencjalny głos kobiecy mógłby mieć znaczenie, lecz parytety tę "premię" zlikwidują. Głosy "na kobietę" rozproszą się na dziesięć kandydatek i nastąpi wzajemna eliminacja. Nazywam to efektem kanibalizmu. Między innymi dlatego we Francji, gdzie obowiązują parytety, w parlamencie jest mniej kobiet niż w Polsce.

Nie ma problemu z aktywnością kobiet na poziomie samorządów. Najprawdopodobniej dlatego, że tam podejmuje się decyzje postrzegane jako konkretne. Więcej też zależy od jednej osoby, mniej od sfory biegnącej w wyznaczonym kierunku. Nie bez znaczenia jest też fakt, że praca w gminie czy województwie pozwala pozostać blisko rodziny.

Trzeba jednak dodać, że ta ostatnia motywacja rzadko kieruje osobami młodymi. Chociaż władza wójta (wójciny) jest większa niż znaczenie szeregowego posła (posłanki), prestiż jest nieporównywalny. Dla młodych kobiet kariera jest równie istotna jak dla ich kolegów. Na efekty nie trzeba będzie długo czekać.

Rewers

Polki nie muszą gonić Europy. W Szwajcarii ostatni kanton przyznał pełne prawa kobietom dopiero 20 lat temu (sic!), czyli 72 lata później niż w Polsce. Parytety chcą wzmocnić emancypację kobiet, w rzeczywistości je stygmatyzują jako grupę specjalnej troski. Ale Polki niezaradne nie są. Przeciwnie, są wyjątkowo przedsiębiorcze i silne. Tym bardziej irytuje nieustanny lament i smaganie po kostkach. Kobieta ma zarabiać, być świetną matką, żoną i kochanką, ma jeszcze odnieść życiowy sukces w pracy. A parytety zdają się mówić: to za mało, jesteście liche, weźcie się wreszcie do roboty, jeszcze jeden wysiłek drogie panie! Parytety – z pewnością wbrew intencjom autorek – wpisują się w produktywistyczny projekt, w którym o wartości kobiety (człowieka) decyduje zarobiona przez nią kasa i władza.

Tymczasem tak rozumiany sukces dla wielu kobiet nie jest wartością. Wolą inny rodzaj aktywności i gdzie indziej sytuują ambicje. Polki mniej od mężczyzn angażują się w

działalność partyjną. Czasem podejrzewam, że szkoda im czasu, że polityką gardzą. Nie przekonują ich argumenty, że to "zajęcie dobrze płatne i niewymagające szczególnych kompetencji". Być może chcą usłyszeć, po co miałyby się katapultować do polityki. To przecież kluczowe pytanie. Czy kobiety mają być reprezentantkami kobiecego interesu? Tylko na czym konkretnie miałyby to polegać? Przecież większość kobiet głosuje na mężczyzn, choć nie muszą, bo list jedнопłciowych już nie ma.

A może kobiety mają brzydką i brutalną politykę ocieplić lub zmienić? O ocieplaniu kobietami wizerunków partii mam jak najgorsze zdanie: szkoda czasu i atłasu. Kuszącym wyzwaniem byłaby zmiana sposobu uprawiania polityki. Tylko że za miałość, brutalność i tabloidyzację dzisiejszej polityki – nie tylko w Polsce zresztą – jesteśmy wszyscy odpowiedzialni.

Być może trzeba poczekać, aż ludzie odrzucą taki model i wahadło ruszy w drugą stronę. I wcale nie trzeba czekać biernie. Impulsy rodzą się nie tylko w Sejmie czy w rządzie. Zwłaszcza w Polsce droga jest zwykle odwrotna: to zwrot opinii publicznej daje impuls do zmian w parlamencie. Polki, których pasją jest polityka, odnajdą się tak czy owak. W dowolnym systemie i każdej ordynacji.

Kobiety w Polsce nie są zahukanymi bidulkami. Kto wątpi, powinien zobaczyć film "Rewers". Trzy bohaterki każdemu przypomną podobnie silne osobowości – ciotki, siostry czy koleżanki – z najbliższego otoczenia. Trzy aktorki zdominowały ekran i polityczny wątek męski nikł w oczach: filmem zawładnął obraz potężnej polskiej kobiecości. Hymn ku czci (a może oskarżenie?) niepoohamowanej siły.

Jestem spokojna. Bez parytetów damy radę.

Wróg dobrego

Dyskusja o mechanizmach politycznych i miejscu kobiet w polityce przynosi rezultaty. Budzi się "głos kobiecy", a politycy z najwyższej półki prześcigają się w wyrazach poparcia dla kobiet. Jeśli partie są gotowe wprowadzić rozwiązania kwotowe we własnych szeregach, to nie widzę przeszkód. Do tego nie trzeba ustawy. Wystarczy wewnętrzne zobowiązanie lub po prostu rozsądna, dobra praktyka. Lepsze jest wrogiem dobrego – nie warto psuć całego systemu w momencie, gdy sam wewnętrznie ewoluuje.